

SOLIDARNOŚĆ JAKO ZADANIE

Solidarność między ludźmi jest faktem i jest zadaniem. Podobnie jak moje człowieczeństwo jest faktem, ale jednocześnie jest zadaniem: do pełnej tożsamości dopiero dążę, a ostatecznie osiągnę ją dopiero w życiu wiecznym.

Faktycznie, międzyludzka solidarność cechuje moralna ambiwalencja. Bywamy solidarni również w złu, np. w zakłamaniu, agresywności wobec słabszych, zamknięciu na duchowe wymiary świata, w którym żyjemy.

Każde popełnione przeze mnie zło promieniuje na innych. Nie tylko w tym sensie, że być może znajdzie się ktoś, kto zacznie mnie naśladować albo kogo swoimi poglądami uczynię gorszym. Popełnione przeze mnie zło pogłębiło moje duchowe zatrucie; produkty rozkładu, jaki dokonuje się w moim wnętrzu, będą zatruwały środowisko, w którym żyję. Zło czynione przez innych działa oczywiście analogicznie. Niekiedy to złowieszcze promieniowanie nakłada się na siebie w takim natężeniu, że w jakiejś społeczności zdoła się utrwalić we wzorach postępowania, poglądach, instytucjach społecznych, w prawodawstwie, ba, w samym nawet języku. Solidarność międzyludzka przybiera wówczas demoniczną postać maszyny samobójczej, która niekiedy zwraca się również przeciwko ludziom i grupom ludzkim stojącym na zewnątrz. Ludzie mogą stać się solidarni w zadawaniu zła sobie oraz innym.

Owszem, również czynione przez nas dobro promieniuje na innych, ono również potrafi utrwalić się we wzorach postępowania, poglądach, instytucjach społecznych itd. Jednakże pojęcie równowagi sił, tak przydatne w myśleniu politycznym, w dziedzinie moralności jest nonsensem. Równowaga między dobrem a złem to mniej więcej tyle samo co równowaga między życiem a śmiercią. Koszmarny to lekarz, który zadowala się tym, że jego pacjenci są trochę żywi, a trochę umarli; taka sytuacja nieuchronnie prowadzi do śmierci. Dobry lekarz stara się odpędzić śmierć od chorego

możliwie jak najdalej. Podobnie jest z solidarnością. Kto nie przejmuje się złem, dlatego że przecież pomagamy sobie wzajemnie również w tym co dobre, w gruncie rzeczy zgadza się na to, aby zło pożerało nas coraz bardziej.

Spójrzmy na ten problem z perspektywy wiary chrześcijańskiej. Jak wiadomo, grzech pierworodny nie zniszczył w nas zdolności do czynienia dobra; dobro czynione przez grzeszników nadal ma moc utrwalania się w rozmaitych strukturach kulturowych i zapraszania w ten sposób do swojego królestwa coraz to nowych ludzi. A przecież w chwili, kiedy na ziemi popełniono pierwszy grzech, zwycięzcą był szatan, i to zwycięzcą całkowitym. Bo człowieka, wraz z całą jego zdolnością do dobrego, udało mu się zamknąć w granicach śmierci. Czyż może szatanowi istotnie przeszkadzać fakt, że na ziemi jest czynione dobro, jeśli ono prędzej czy później umrze? A przecież szatan osiągnął więcej jeszcze: udało mu się niejedno dobro podporządkować złu. Nie da się wyobrazić większego poniżenia prawdy, niż kiedy w ostatecznym rozrachunku służy ona kłamstwu! Czy dobro pozostaje jeszcze sobą, jeśli dało się przymusić do służby złu, albo nawet dobrowolnie się do niej zaprzęga?

Faktycznie, nierozzerwalnie związana z naszą społeczną naturą solidarność w dobru i złu czyni nas dziedzicami pierwszego grzechu, ale jest też, jak się wydaje, ontycznym „kanałem”, przez który dociera do nas łaska odkupienia. Każdy ludzki czyn dobry jakoś promieniuje na innych. Jednakże dobre czyny grzeszników, choćby najszlachetniejsze, zawsze są jakoś okaleczone i naznaczone niedoskonałością. Zawsze też są to czyny o wartości skończonej. To też ich moc oddziaływania na innych jest jedynie skończona, częściowa i osłabiona ludzką grzesznością. Otóż Jezus Chrystus jest Synem Bożym, który dla nas stał się człowiekiem. Całe swoje życie, którego momentem szczytowym była męka i śmierć na krzyżu, przeszedł w sposób kryształowo sprawiedliwy, nie dopuścił do siebie najmniejszego skażenia przez grzech. Ponieważ jest On prawdziwym Bogiem, również Jego czyny wykonane w ludzkiej naturze są czynami Osoby Bożkiej, a więc mają wartość nieskończoną. Moc oddziaływania tego dobra, jakie w swojej ludzkiej na-

turze spełnił Syn Boży, jest więc nieskończona, powszechna i absolutnie niedostępna grzechowi i niedoskonałości. Wszyscy ludzie wszystkich pokoleń znajdują się w przestrzeni tej mocy i — jeśli tylko są na nią otwarci — dostępują przez nią wyzwolenia z grzechów oraz godności synów Bożych.

Solidarność Syna Bożego z całą rodziną ludzką jest więc dwukierunkowa: Zbawiciel chce nas wszystkich obdarzyć uczestnictwem w swojej Boskiej naturze, ale najpierw przyjął uczestnictwo w naszej upokorzonej naturze ludzkiej. „Ogołocił samego siebie, przyjąwszy postać sługi” (Flp 2, 6) i właśnie dlatego „jakąś nadprzyrodzoną solidarnością związał ze sobą całą ludzkość w rodzinę” (DA 8). „Tę solidarność trzeba będzie ciągle zwiększać, aż do owego dnia, w którym osiągnie ona swoją pełnię i w którym ludzie, jako rodzina umiłowana przez Boga i Chrystusa-Brata, zbawieni przez łaskę, oddawać będą Bogu chwałę doskonałą” (KDK 32).

Punktem wyjścia powszechnej solidarności jest sama społeczna natura człowieka, wypaczona częściowo przez grzech. Punktem dojścia natomiast będzie moment, kiedy „dojdziemy wszyscy razem do jedności wiary i pełnego poznania Syna Bożego, do człowieka doskonałego, do miary wielkości według Pełni Chrystusa” (Ef 4, 13). Zanim rzucimy parę uwag na temat naszej drogi między tymi dwoma punktami, dobrze będzie postawić sobie pytanie, czy gdyby Chrystus do nas nie przyszedł, solidarność nie pojawiłaby się na naszym horyzoncie jako zadanie? Otóż — sędzę — niedorzecznością byłoby tak twierdzić. Również bez Chrystusa, ludzie dotknięci grzechem mieliby obowiązek dążyć do zwiększania i oczyszczenia swojej solidarności w dobru i usuwaniu solidarności w złu. Bez Chrystusa jednak wszystkie te wysiłki byłyby całkowicie zamknięte w granicach śmierci, brak by nam było jakichkolwiek perspektyw na radykalne oczyszczenie naszej solidarności ze znamion moralnej niejednoznaczności oraz w żadnym razie nie stać by nas było na to, żeby osiągnąć solidarność rzeczywiście powszechną. Dopiero przyjęcie nas przez Boga do solidarności z sobą umożliwia nam pełną solidarność wzajemną.

Ale również obecnie, kiedy Syn Boży przyszedł do ludzi a my uwierzyliśmy w Niego, pełna solidarność jest dopiero przedmio-

tem nadziei. Spróbujmy wyliczyć znaki, po których rozpoznać, czy nasze dążenia do solidarności są prawdziwe. Solidarność prawdziwie ludzka nie polega przecież tylko na tym, że sprzymierzamy się ze sobą w obronie swoich interesów. Na czym więc polega?

Po pierwsze, solidarność musi obejmować całego człowieka. Człowiek jest bowiem kimś niewyobrażalnie więcej niż jednostką społeczną. Prawdziwie ludzka solidarność nie może więc sprowadzać się do tego, że jakaś liczba jednostek ludzkich łączy się z sobą, aby osiągnąć określone cele, w pojedynkę nieosiągalne. Człowiek jest osobą, każdy z nas jest jedynym i niepowarzalnym — zostaliśmy bowiem stworzeni na obraz Tego, który jest dostatecznie nieskończony, aby każdy z miliardów Jego obrazów był specyficzny i jedyny w swoim rodzaju. Tylko solidarność międzyosobowa jest godna człowieka. Wprawdzie wolno nam łączyć się ze sobą w imię różnych celów częściowych, nie angażujących bezpośrednio całego człowieka, jednakże prawdziwa solidarność co najmniej nie zamyka się na całego człowieka, ogarnia go co najmniej potencjalnie. Wszelkie próby zdegradowania człowieka do roli np. ogniwa w systemie oporu przeciw niesprawiedliwości ubliżają ludzkiej godności i będą rodziły nowe krzywdy.

Po wtóre, nie może być mowy o prawdziwej solidarności, dopóki nie uświadomimy sobie dostatecznie wzajemnej zależności oraz wzajemnej odpowiedzialności za siebie. Nigdy nie badałem tego problemu, przeczuwam jednak intuicyjnie, że samo pojęcie solidarności powstało na skutek próżni, jaka pojawiła się po usunięciu ze słownika nowożytnych Europejczyków pojęcia dobra wspólnego. Wezwanie do solidarności początkowo było odpowiedzią na najbardziej jaskrawe i dokuczliwe grzechy indywidualizmu. Przybierało ono podwójną postać: postać wezwania do słabych, aby łączyli się w obronie swoich praw, oraz wezwania do mocnych, aby nie uspokajali swojego sumienia tym, że wyrządzone przez nich krzywdy mieszczą się w granicach legalności. Jeszcze niedawno wezwanie drugiego typu znalazło się w dokumencie Pawła VI *Octogesima adveniens*: „Sama równość obywateli wobec prawa może się stać pretekstem do niegodziwej i jawnej dyskryminacji, do stałego wyzysku i do faktycznego pogardzania in-

nymi. Bez wychowania na nowo do solidarności — owa, tak nieraz nadmiernie akcentowana równość wobec prawa, może sprzyjać stylowi życia zbyt egoistycznemu, w którym każdy upomina się jedynie o swoje prawa, mniej zważając na dobro wspólne” (nr 23).

Otóż indywidualizm zmniejszył naszą wrażliwość na cudzą biedę i krzywdę nie tylko w sferze potrzeb materialnych i praw społecznych, ale również w sferze potrzeb duchowych. Wprawdzie wielką zasługą myśli indywidualistycznej było wielostronne opracowanie problemu tolerancji, poszanowania dla różnych ludzkich odmienności, dla spraw mniejszości itp. Zarazem jednak próbowano zredukować moralność do samej tylko sfery stosunków bezpośrednio międzyludzkich i w rezultacie dochodziło nawet do tego, że opinia niektórych środowisk wymuszała postawę obojętności wobec zjawisk tak oczywiście negatywnych, jak rozpusta, alkoholizm, dobrowolne zamachy na własne zdrowie lub życie (sterylizacja, samobójstwo, eutanazja) itp. Słusznie broniąc praw człowieka do własnej prywatności, zapędzono się niekiedy w takie skrajności, że za prywatną sprawę człowieka uznano niemal wszystko co nie podpada pod kodeks karny, nawet religię i moralność. Sam fakt głoszenia przez Kościół zasad np. etyki seksualnej wielu współczesnych ludzi uznaje za wtrącanie się w ich sprawy prywatne i niewiele znaczy dla nich ta okoliczność, że Kościół nie ma ani możliwości ani ochoty przymuszać kogokolwiek do liczenia się z tymi zasadami w swoim życiu prywatnym. Moralne represjonowanie odpowiedzialności za drugiego człowieka, w imię obrony jego prywatności, doprowadziło na przykład do tego, że idea apostołowania prawdy została zastąpiona ideą propagowania swoich poglądów, że idea wolności słowa (wolności od kłamstwa, nienawiści itp.) została odsunięta przez ideę wolności mówienia (w sensie, że każdemu wolno mówić to, co mu się podoba), że zamiast przeciwdziałać przyczynom, które stawiają ludzi wobec pokusy rozwodu lub zabicia własnego płodu, po prostu zalegalizowano zarówno rozwody jak sztuczne poronienia.

Problemy niezwykle ważne opisuję przy pomocy jednego pościągnięcia piórem. Bardzo proszę, żeby wzięli to pod uwagę zwłaszcza ci czytelnicy, w których moja wypowiedź wzbudziła sprze-

ciwy. Kreśląc powyższe uwagi, chodziło mi przede wszystkim o przekazanie następującej tezy: Potrzeba wzajemnej solidarności dotyczy nie tylko starań o sprawiedliwy podział dóbr zewnętrznych oraz walki o prawa obywatelskie, nie wolno nam wyrzucać poza obręb solidarności całej bogatej problematyki wzajemnej pomocy oraz obrony przed krzywdą w zakresie dóbr moralnych i duchowych.

Po trzecie, braków solidarności nie wolno klajstrować deklaracjami o jej istnieniu, należy czuwać nad tym, aby budowana przez nas solidarność nie opierała się na jakimś zakłamaniu. Pod tym względem na przypomnienie zasługują krytyki — niekiedy zapewne przesadne — różnych idei solidarystycznych, jakie pojawiały się od ponad stulecia. Solidaryzmowi zarzucano m. in., że jego program społecznej harmonii może zostać zrealizowany tylko za cenę oszukania warstw upośledzonych co do prawdy ich sytuacji. Trudno niekiedy osiągnąć solidarność bez dobrowolnych ofiar, ale nie da się jej zbudować na jakiegokolwiek krzywdzie.

Po czwarte, prawdziwie ludzka solidarność nie musi być aktualnie otwarta na wszystkich ludzi (jest to nawet niemożliwe), ale nie wolno jej nikogo ze swojej przestrzeni wykluczać. Nie zapominajmy o tym, że jakaś solidarność istnieje również w bandzie gangsterów. Nawet nie uciekając się do tak drastycznych przykładów, trudno zaprzeczyć, że każda solidarność cząstkowa, jeśli zamyka się na wymiar powszechny, musi raz po raz stawać przeciwko innym solidarnościom cząstkowym, albo nawet — co gorsza — przeciwko solidarności otwartej na ów wymiar powszechny. Egoizm grupowy bywa bardziej niszczytelki, a więc i bardziej niemoralny niż egoizm w pojedynkę.

Wolno nam jednak tworzyć kręgi solidarności. Kreśli je w znacznej mierze sama niejako natura rzeczy. Inaczej przedstawia się przecież powinność solidarności z pokrzywdzonym kolegą z pracy, inaczej z pokrzywdzonymi robotnikami fabryki zegarków we Francji. Większy obowiązek dbania o solidarność międzynarodową spoczywa na sprawujących władzę w państwie oraz na cieszącym się szczególnym autorytetem moralnym, niż na szeregowych obywatelach tego państwa. Dobro moich najbliższych zwy-

kle obchodzi mnie bardziej niż dobro innych ludzi (zdarzają się jednak sytuacje nadzwyczajne, kiedy moją najpilniejszą troską powinno stać się dobro kogoś mi obcego).

Dwie okoliczności zwiększają szczególnie powinność solidarności: jeśli ktoś potrzebuje pomocy natychmiast oraz jeśli ktoś jest szczególnie bezbronny. Jeśli dzisiaj nie pomogę choremu, jutro może być już na to za późno. Jeśli nie staniemy w obronie prześladowanych, upośledzonych, więźniów, być może w ogóle zabraknie im rzeczników. Stąd Kościół tradycyjnie wzywa do szczególnej troski o wszelkiego rodzaju ubogich i chorych. Klasą istot ludzkich, której można dzisiaj zadawać najcięższą krzywdę bardziej bezkarnie niż kiedykolwiek, są nienarodzone dzieci. Stąd solidarność, która nie zamierza ruszyć palcem w obronie tych najbardziej bezbronych, traci walor powszechności, a tym samym budzi wątpliwość co do swej moralnej wiarygodności.

Innym papierkiem lakmusowym moralnej wiarygodności idei solidarnościowych jest stosunek do nieprzyjaciół. Złość ludzka nigdy nie osiąga takiego natężenia, żeby ktoś mógł stać się cały i bez reszty krzywdzicielem. Właśnie w taki sposób, a więc nieprawdziwie, odnoszą się do swoich nieprzyjaciół ci, którzy ich nienawidzą. Nienawiść w gruncie rzeczy polega na ekskomunikowaniu kogoś z rodziny ludzkiej, a takie uprawnienia ma wyłącznie Bóg, który jeden może wydać na człowieka wyrok potępienia, ale nawet On nie wydaje nieodwołalnych wyroków, dopóki żyjemy na tej ziemi. Nie wolno człowiekowi żadnego ze swoich bliźnich traktować w taki sposób, jak gdyby był on potępiony przez Boga. Aż do chwili śmierci każdy człowiek, również zbrodniarz i krzywdziciel, wart jest pomocy (jakiej konkretnie — to zależy od okoliczności) i należy go bronić, jeśli spotyka go krzywda.

Po piątę, prawdziwie ludzka solidarność nie umie posługiwać się niemoralnymi metodami. Spostrzeżenie to dotyczy rzeczy tak oczywistej, że chyba nie trzeba szerzej go rozwijać.